

w teatrze

W Teatrze Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu trwa festiwal Sławomira, Mrożka. Po importowanym „Vatlavie” własne „Szczęśliwe wydarzenie”, a w kolejce czekają jeszcze „Emigranci” i warszawski „Letni dzień”. Zapowiada się prawie monograficzny sezon.

Szkoda tylko, że na takie „mocne uderzenie” składają się, poza „Emigrantami”, utwory w dorobku autora raczej drugorzędne, słabsze, blahe. „Szczęśliwe wydarzenie” też plasuje się w tej grupie, choć sztuką blagą akurat nie jest, traktując o istotnym, a wciąż aktualnym zagrożeniu, o szczególnym cywilizacyjnym śpasiu, w którym pogrążył się świat.

A jednak — komedia o straszliwym niemowlęciu, stanowiącym totalne zagrożenie dla wszystkich zastanych postaw: od tradycjonalizmu do „anarchizmu estetyzującego”, i wszystkie je niszczącym — na pewno nie jest Mrożka utworem najlepszym. Szlachetne przesłanie i powaga, ba — nawet groza sceny finałowej dość istotnie kłóca się w „Szczęśliwym wydarzeniu” z formą farsy, jakby kompromitującą istotę zamierzenia, a przynajmniej wydobywającą całą sztuczność pomysłu.

Utwór ten, grany stylem ostrej komedii, przyjmowany jest — sądzą — przez publiczność z całym dobrodziejstwem inwentarza. Nie budzi refleksji, bo — wbrew formie skutecznie przyćmiewa tu treść, zaś ilość i rodzaj padających ze sceny dowcipów skutecznie zaciera szansę nie tylko zadumy, ale choćby porównań z wcześniejszymi (a i późniejszymi) sztukami Mrożka. Toteż nawet finał, odwołujący się przeciw do „Tanga”, może być (i często jest) interpretowany jako ko-

lejny, absurdalny dowcip, oparty na potocznym doświadczeniu. Po prostu: straszliwe niemowlę jednak odkreśliło gaz... I — podejrzewam — takie rozwiązanie przyjęła również grudziądzka widownia. Komedijowe. I tylko takie.

Wanda Laskowska reżyserując „Szczęśliwe wydarzenie” w Teatrze Ziemi Pomorskiej próbowała — przypuszczam — tych niebezpieczeństw, wynikających z prostego odbioru sztuki, uniknąć. Czy jednak w ogóle byłoby to możliwe? Dualizm treści i formy jest bądź co bądź w tym właśnie utworze wyjątkowo nie-

przekonywający. Uniknąc zaś wykładni dosłownej i prostej w sztuce wyladowanej po brzegi „złotymi myślami” chyba po prostu się nie da. Byłoby dobrze, gdyby można było przynajmniej zachować w jej realizacji pewien dwuznaczny, acz sugestywny niepokój ostatniego aktu. I ku temu zdążyła — sądzą — reżyseria przedstawienia (scenograf Marek Tomasik zbudował na scenie jedną dekorację, monumentalną, a nieźle charakteryzującą klimat sztuki), które — nie eksponując przesadnie dowcipów — toczyło się w rytmie raczej powolnym, nie farsowym właśnie, ale jakby groteskowym, bo wydobywającym częściowo przesłanie poprzez zderzanie absurdalnych sytuacji z poważnie-komiczną stylistyką wypowiedzi.

Niestety, większość reżyserskich przemyśleń pozo-

stała w grudziądzkim spektaklu wyłącznie w sferze zamierzeń. Z pustego bowiem nie należy i Salomon. Tak źle granego przedstawienia dawno nie zdarzyło mi się widzieć. Aktorzy — powściągnięci prawdopodobnie przez Wandę Laskowską przed popadnięciem w nie kontrolowany styl prowincjonalnej farsy — po prostu nie bardzo wiedzieli, co i jak mają grać. Obawiam się zresztą, że na jakiejkolwiek, trochę choćby wyrafinowane działania aktorskie nie pozwalały im po prostu braki warsztatu, nie mówiąc już o środkach teatralnej ekspresji. Tej starczyło jedynie na wygła-

szanie tekstu — i to nie zawsze poprawnie. Żadnej samoświadomości, formy, konwencji — tylko paradyżące po scenie marionetki, byle jak recytujące swój tekst, broniące się przed każdym śmielszym gestem, przed próbą stworzenia choćby zarysu postaci, częściowo przynajmniej przylegającego do autorskich zamierzeń. Zważywszy, że wszystkie utwory Mrożka składają się z ról, które zagrane przeciętnie, acz nie przesadnie realistycznie, prawie gwarantują sukces przedstawienia — dokonano tu sztuki doprawdy wielkiej. Mąż (Zdzisław Feducik), Przybysz (Wiesław Rajewski) i Żona (Hanna Bondarewska) — to były kostiumy, nie żywi ludzie. Ilustracje do tekstu, nie zaś wykonawcy postaci. Wyróżnił się zwłaszcza Zdzisław Feducik, z nieznośną manierą i fatalną dykcją wy-

głaszający swe kwestie jakby ze spóźnionym reflekssem, co chwilami sprawiało wrażenie, że aktor stara się mozolnie przypomnieć sobie przypisany mu tekst, i tylko to go na scenie interesuje.

W tej żenującej chwilami amatorszczyźnie wyróżnił się — niczym specjalnym w końcu, bo zaledwie poprawnym warsztatem — Leszek Polessa (Dziadek), który też prezentował się już grudziądzkiej publiczności w lepszych rolach. I od biedy można także zaakceptować Zbigniewa Szablewskiego (Niemowlę), choć bogiem a prawdą ma on w tekście tak opracowane didaskalia i taki — wynikający z groteskowego zaskoczenia — kredyt u publiczności, że prawie nie sposób tę rolę położyć.

Cóż zatem zostało z Mrożka w tym spektaklu? Tekst, który można sobie poczytać w domu, niezła scenografia i kostiumy, kilka ciekawych reżyserskich zamierzeń, których nie było widać, i wielka feeria autorskich dowcipów. Te — nawet w taki sposób podane — jednak śmieszyły publiczność. Mroźek objawił się więc widowni jako współczesny Flers lub Veber, bezproblemowy, a dowcipny autor kawałków, które opowiadać można nawet u cioci na imieninach. Zresztą także w amatorskim wykonaniu. Efekt — nawet bez dekoracji — byłby pewnie ten sam. Najwyżej odbędzie się kolejne, niezbyt szczęśliwe wydarzenie.

JADWIGA OLERADZKA

Teatr Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu. Sławomir Mrożek „Szczęśliwe wydarzenie”. Reżyseria: Wanda Laskowska. Scenografia: Marek Tomasik. Premiera 23 marca 1985 r.

GAZETA str. 3